№ 10. Piątek, dnia 4 Grudnia 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 22 listopada (4 grudnia) 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
” ” na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

MIŁOŚĆ
wobec wymagań czasu.

Już nie pora, zaśnij serce,
Poco tęsknisz, próżne żale —
Dziś uczucia w poniewierce.
I ja kochać nie chcę wcale…

Kochać, tęsknić—żądza płocha,
Poco senne gonić mary…
Kto dziś kocha? nikt nie kocha...
Świat za mądry, świat za stary.

Rana prędko się zabliźni,
Porzuć twoje sny i niesny;
Kto ma kochać dziś—mężczyźni?
Oni kochać?— żart bolesny!

Dosyć — świat się nasz nie zmieni
Obce mu już żądz słodycze;
Kto ma kochać — czy uczeni?
Może tamci? — giełdowicze?!

Były niegdy dni łaskawsze —
Był wiek pieśni— wiek rycerzy,
Świat ich wyparł się nazawsze;
On dziś tylko bada — mierzy;

. . . .

(Z teki 16 letniej panienki)

Takie to wiersze spotkaliśmy w tych dniach na pięknem biureczku, między zaczętą szydełkową robótką, a otwartą powieścią pani Klementyny z Tańskich…

Przeczytawszy ten udatny wierszyk, znaleźliśmy się w położeniu człowieka, który z wiedzą o naganności swego zamiaru, nie mogąc się oprzeć pokusie, popełnia czyn niedozwolony.

Ilekroć opanuje chęć niepoczciwa, zły duch podsuwa środki do jej zaspokojenia—na biurku leżał ołówek…

A że zwykle jeden zły postępek prowadzi do drugiego, pozwoliwszy sobie przepisać znalezione wiersze, podajemy je w druku. Nie chcąc zaś dopuszczać się jednego więcej błędu i nudzić czytelnika tłómaczeniem się z winy, przystępujemy do rzeczy, to jest do podzielenia się z nim wrażeniem, jakie na nas zrobiło odczytanie tego płodu dziewiczej fantazyi nakreślonegc z widocznym pośpiechem pod wpływem naglących myśli, a nawet pewnego nerwowego rozdraźnienia.

Otóż w pierwszej chwili wziął nas śmiech pusty z tej skargi serduszka głodnego sentymentu… po chwili jednak nasunęły się myśli poważniejsze, pragnienie uczucia, wyrażone w udatnych zwrotkach, było przecież prawidłowym objawem psychicznej natury ludzkiej w ogóle, a kobiecej w szczególności. Kobieta w pewnym stopniu umysłowego rozwinięcia potrzebuje pokochać kogoś, naturalnie nie drugą kobietę, ale— wszak to nie jest grzechem, ani tajemnicą — potrzebuje pokochać mężczyznę, odpowiadającego wymaganiom jej umysłu, wyobraźni i serca. Że zaś wszelkie uczucie domaga się wzajemności, kobieta pragnie też być ukochaną przez człowieka przedewszystkiem godnego jej pod względem moralnym, a także i umysłowym, następnie zaś zdolnego stopniem sentymentu odpowiedzieć temperaturze jej kobiecego serca. Młoda tedy, a doprawdy warta uczucia i to gorącego, osoba zaczepiona przez nas tak niedyskretnie w niniejszym artykule, zamknięta z własnemi myślami w pokoiku pełnym woni „Jockey Clubu” układa w rymy skargę na dzisiejsze społeczeństwo, którego połowa męska daleka od rycerskich tradycyi ubiegłych stuleci, niezdolną jest ożywić się uczuciem miłości, a nadto niezdolna go obudzić. Jedni bowiem z mężczyzn zapatrzeni w figury matematyczne, zatopieni w kombinacyach cyfr, inni oddani poprostu robieniu grosza.

Takiemi prozaicznemi zajęciami wystudziwszy serca, niezdolni są sami pokochać i nie warci, aby dla nich uderzyło żywiej serce kobiece…

Na postawioną w ten sposób kwestyą zamierzamy w kilku słowach odpowiedzieć.

Przedewszystkiem przyznać musimy całkowitą słuszność twierdzeniu autorki wiersza, że uczucie miłości nierównie rzadziej ożywia dzisiaj serca mężczyzn niż dawniej.

Jeżeli dalej zgodzimy się, że uczucie to jest jednem z najszlachetniejszych, jakie się w duszy ludzkiej objawiać zwykły, przyznamy zapewne, że dająca się zauważyć rzadkość tego psychicznego objawu u dzisiejszej młodzieży, nie świadczy korzystnie o rozwijaniu się w ludzkości uczuć szlachetnych, które pielęgnować powinno starannie wychowanie domowe, i które każdy myślący i moralnie wyższy człowiek kształcić w sobie ma obowiązek. Jeżeli nadto przyjmiemy zdanie, niedosyć dzisiaj powszechne, ale może jedynie słuszne, że uczucie miłości przed innemi względami prowadzić powinno ludzi zawierających związki dozgonne — wypadnie nam przyznać, że brak tego uczucia robi ujmę moralnej wartości naszej młodzieży, a społeczeństwu wyrządza rzeczywistą szkodę, podstawiając na miejsce względów uczuciowych, czysto moralnej natury, winnych przeważnie prowadzić ludzi, wchodzących w małżeński związek, względy, rachuby i korzyści — podstawiając w miejsce wyboru serca interes materyalny.

Ilekroć wszakże zgodzimy się, że rzecz pewna jest złą i usunąć ją chcemy, staramy się najpierw zbadać skąd bierze początek, bez tego bowiem rzadko można zaradzić złemu. Tu podobno, choć nie bez żalu, rozejdziemy się w zapatrywaniach z autorką wiersza. Powiada ona bowiem, że uganianie się za groszem, wyziębia serca mężczyzn, niech jednak zważy, że bez tego *grosza* niemożliwem jest żadne szczęście; niepodobna się oddawać serdecznej rozkoszy zanim zaspokojemy pierwsze potrzeby życia. Zapewne potrzeby te są różne, świat dzisiejszy powiększa je sobie bez miary, ale kto więcej jak same kobiety?

Dla was to dobre i piękne panie gonić musimy tak uparcie za groszem, aby starczyć na wasze niezliczone zachcenia— na zaspokojenie waszych upodobań w modzie, rozrywkach, podróży. Ograniczcie te wymagania, a kwestya uprości się odrazu, i wielu z nas, bez obawy, poszuka szczęścia w dozgonnym związku z ukochaną kobietą.

Nie sądzimy też, aby nauka wystudzać mogła nasze serca—może ona jednak powiększać wymagania względem osoby wybranej. Wynika stąd, podług naszego zapatrywania, że dzisiaj można być kochoną i kochaną prawdziwie, choć nie tak może łatwo, jak w owych wiekach pieśni i rycerzy, kiedy skala umysłowa mężczyzn zajętych wyłącznie prawie rzemiosłem wojennnem, oddanych ćwiczeniu ciała, była równą, a może i niższą od rozwinięcia umysłowego kobiet, które w ciszy swoich komnat łatwiej pracować mogły nad ukształceniem umysłowem, a w obozie nie traciły nic z nabytków dobrego wychowania i towarzyskiej ogłady. Dziś rzecz się ma przeciwnie, wykształcenie umysłowe stanęło na pierwszem miejscu, na planie wychowania młodzieży, a wielu zajmuje niemal połowę życia. Czy w tym samym stosunku podniosła się i skala umysłowości kobiecej? Może nam ktoś zarzucić, co przy traktowanym obecnie na szeroką skalę rozbiorze kwestyi emancypacyi kobiecej niejednokrotnie było podnoszone, że niższość umysłowa kobiet nieuniknioną jest wobec słabszej ich fizycznej organizacyi, a więc i niezdolności do ponoszenia wielkich trudów pracy uniwersyteckiej, jak równie dłuższego wytężenia władz umysłowych.

Nie chodzi nam jednak o ukształcenie specyalne kobiety, które jedynie nastręczać może przywiedzione wyżej trudności, chodzi nam tylko o elementarne w obszerniejszem znacze-

niu, ale gruntowne wykształcenie, o to tak zwane wykształcenie *średnie*, które pomimo wysileń wszystkich systematów edukacyjnych, jest dotąd, nadewszystko zaś na stałym lądzie Europy, nader *powierzchowne*, a co najgorsza i czego nigdy dosyć nie możemy powtarzać, nietyle *racyonalne* ile *pamięciowe*. Tylko takie, pożądane przez nas wykształcenie średnie, da kobiecie pewną umysłową dojrzałość, usunie z mowy to znane wyrażenie „la logique des femmes," na które francuzi tak często się powołują, da jej *prawidłowy proces myślenia*, na którym podobno najwięcej jej zbywa.

Jeśli kiedy uda się jakiemu systematowi wychowawczemu zapewnić umysłom kobiecym dwa te wielkie przymioty: konsekwencyą i powagę, obyczaje piękniejszej połowy naszego rodzaju, stanowczej uledz muszą zmianie.

Pierwszą ofiarą tej błogiej, a oby w jaknajbliższej przyszłości możliwej reformy będzie *strój*. Drogie tkaniny przestaną pochłaniać znaczną część sił produkcyjnych społeczeństwa, świecidła, fioki, nieustanne a ledwo widoczne dla ludzi poważniejszych przemiany kroju i ozdób przeznaczonych do upiększania niewieścich postaci, a co najważniejsza, obrzydłe bielidło szpecące oblicze kobiety, a zarazem poniżające jej osobistą godność, niezawodnie wyjdą z użycia.

Wtedy piękna autorko wiersza, któremu zawdzięczamy natchnienie do niniejszego kazania, powróci opłakiwany przez ciebie wiek miłości. Jeśli nam trudno dzisiaj pokochać ubieloną pudrem, nad miarę wygorsowaną, szeleszczącą niezliczonem mnóstwem krochmalnych gałganków lalkę, pokochamy szczerze rozumną i umiarkowaną w stroju, że tak powiemy, osobę na *seryo*.

Wprawdzie i mężczyzni może winni są nieco temu wystudzeniu uczuć; złe towarzystwa, skażenie obyczajów, tak dziś niestety powszechne, niemało się do tego przyczyniają.

Pewne gorszące rozrywki, będące grzechem przeciwko religii, ciężkiem wykroczeniem przeciwko moralności społecznej, do szanowania której każdy uczciwy obywatel niewątpliwie jest obowiązany—takie mówię rozrywewczki, uważane są dzisiaj, jako dozwolona zabawka, należą nawet niejako do atrybucyi męskości. Ciężki ten błąd, a tak dziś pospolity, niezawodnie przyczynia się do wyjałowienia serc młodzieży, do obniżenia jej moralnego poziomu. Czy jednak lekkomyślność kobiet i idące za nią zmniejszenie moralnego uroku, jaki kobieta uczciwa na mężczyzn wywierać może i powinna, nie jest potrosze przyczyną rozluźnienia między nimi węzłów moralności? Na całe to złe, a złe wielkie, wy podobno piękne a zacne panie, najlepsze posiadacie lekarstwo. Rozumem, zacnością i powagą, niemało przyczynić się możecie do utrzymania waszych synów, braci i mężów, na drogach prawych.

Dosyć już dosyć morałów! wołacie chórem piękne czytelniczki. Jeszcze słowo—doprawdy, już ostatnie. Powiedzcie mi, czy bardzo macie za złe autorowi tej pogadanki, że pozwolił sobie, podsłuchane myśli jednej z Was, wydrukować i wziąć za temat do swoich nudnych wywodów? Niestety, zgaduję waszę odpowiedź, dopuściłem się może cięższej winy, jak mi się zrazu zdawało. Ale teraz czy mogę ją naprawić? Na artykuł ten czeka puste miejsce w dzisiejszym numerze, czas nagli — cóż uczynię? Możnaby wziąć nowy arkusz papieru i poszukać konceptu do innego artykułu, ale chłopiec z drukarni stoi za mną i literalnie papier z pod ręki wyciąga. Zapóźno!

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

Sierpień—Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg)

Pan *Zathey* oddawszy należny hołd cudnej piękności ojczystego języka w tym przekładzie, zakończa rzecz swą temi słowy:

„Siemieński wzniósł Homerowi wspaniały i niespożyty na polskiej ziemi pomnik, a powiedzmy, wzniósł go i sobie. Jak długo język nasz żyć, naród istnieć, myśleć i kształcić się nieprzestanie, Odyssea będzie w każdym polskim domu, bardzo blisko, może tuż koło *Pana Tadeusza*. Wszystkie drzwi otworzą się dla niej i wszystkie serca, i wszyscy już bez trudu czerpać będą z tego czystego i jasnego źródła prawdy, piękności i poezyi. Czy wolno jeszcze wypowiedzieć ciche a serdeczne życzenie, aby tłómacz Odyssei obdarzył nas i *Iliadą*, czy nie będzie to objawem onej nienasyconej chciwości, która im więcej dają, tem więcej pożąda? Wolimy na razie wpodziękę zawołać z Odyssem:

„*Niech ci Bóg da, czego sobie w sercu swem życzysz.*"

a do szanownych czytelników z Plautem:

„*Powstańcie i dajcie poklask.*"

Nie jest to przesadzona pochwała.—P. Zathey, gruntownie rozprawą uczoną ją popiera.

Od wielu lat jak znam Siemieńskiego bardzo się zmienił, niskiego wzrostu, drobnego oblicza, szczupły, ale zawsze, jak dobrze nasi mówią: „czupurny" i pełen młodzieńczego zapału. Wymowy nie ma płynnej, źle czyta, ale zato co napisze, to jest zawsze, jak mówiąc o Siemieńskim wyraził się J. Kremer:

„jak ten kwiat barwny, a pełen woni zwilżony kroplami ożywczej rosy."

Teraz właśnie przygotował do drugiego wydania przekład swój *Rękopisu Królodworskiego*, co mu dał taki rozgłos, a który ma być drukowany, w *Bibliotece najcelniejszych utworów literatury Europejskiej*, wychodzącej przy ilustracyi *Kłosy*. Przejrzał dawniejsze *Rapsody* swoje jak *Trąby w Dnieprze*, *Bitwa Warneńska* i inne, które dołączył, do pomienionego *Rękopisu*.

Obecnie pracuje nad wykończeniem rozprawy, której treścią zbadanie historyi *Arrasów* czyli gobelinów na ściany, zwanych *Potopem* a będących niegdyś własnością króla Zygmunta Augusta. Ma ślady, że te drogocenne zabytki, kupione zostały do Petersburga.

Siemieński jako czynny członek *Akademii Umiejętności* w Krakowie, przewodniczy w komissyi dla *historyi sztuki*, z tego też powodu wybrał do obrobienia przedmiot powyższy.

Wspomniałem że Siemieński mieszka w kamienicy zwanej *Szarą*, owóż opowiedział mi o niej następne podanie.

„Dom ten właściwie zwać się winien kamienicą *Sary*, była bowiem własnością pięknej *Sary* żydówki, dla której Kazimierz Wielki ją wybudował. Wowe czasy w samym mieście Krakowie żydom mieszkać nie było wolno, bo mieli swoje oddzielne przedmieście *Kaźimierz*, ale w tej kamienicy, gdy przyszli do miasta za interesami mieli swoję gospodę. Teraz jest w temże samem miejscu żydowska kawiarnia."

Skarżył się przedemną, że ma dużo *defektów*

U OGNISKA.

W ubiegłym tygodniu zmarł ś. p. Romuald Zientarski, znany i pożyteczny pracownik na niwie krajowej muzyki kościelnej. Zientarski należał do liczby kompozytorów, nieubiegających się w utworach swoich za efektami — pracował całe życie szczerze i wytrwale w raz obranym kierunku i pozostawił po sobie znaczną liczbę utworów, dających chlubne świadectwo o pracy i talencie nieboszczyka. Jako nauczyciel w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych dał dowody niezwykłych zdolności nauczycielskich, wykształciwszy wielu dotkniętych smutnem kalectwem ślepoty. Kto pojmuje mozolne zadanie nauczyciela, ten jest w stanie wyobrazić sobie, jakie trudności miał Zientarski do zwalczenia ucząc niewidomych, i z jaką cierpliwością i wytrwałością musiał pracować nad nimi. Ninzależnie od tego zajęcia był profesorem gry organowej w warszawskim Instytucie muzycznym, i na tym stanowisku napisał szkołę gry na organach i wykształcił wielu zdolnych organistów. Od kilku lat dotknięty ciężką chorobą, musiał zaprzestać swych zajęć. Publiczność warszawska, z chętną spiesząca pomocą często tam nawet, gdzie jej najmniej potrzeba, obojętnie patrzyła na afisze zapowiadające koncert na korzyść zasłużonego artysty. Dziś, nad świeżą mogiłą, możemy śmiało powiedzieć, iż niedostatek zgon jego przyspieszył. Zmarły miał lat 45, i mógł był jeszcze dość długo pracować z pożytkiem dla ogółu. Zbyt często zdarza się to u nas, iż ludzie rzeczywistych zasług, w nędzy kończą swe życie — zyskując uznanie dla siebie i swej pracy po śmierci dopiero.

Fakta niepozwalają nam się uskarżać na wyzysk zagraniczny ile raczej na naszę własną niezaradność. Analiza chemiczna naszych rud żelaznych, dokonywana za granicami kraju, najwymowniej przekonywa, iż własnościami swemi równają się najsławniejszym w Europie jak szwedzkim, angielskim i styryjskiem. Tymczasem nasze fryszernie, walcownie i odlewnie produkują żelazo nieodpowiednie potrzebom miejscowym i zastępować je z konieczności wypada importem zagranicznym. Między innemi fabryka machin i narzędzi pana Ostrowskiego w Kole sprowadza rocznie surowego żelaza ze Szwecyi 6,000 pudów, a Administracya Żeglugi parowej do budowy gabar blachę żelazną z Anglji, z powodu iż żądanych zamiarów nie jest produkowaną w kraju. Jakkolwiek powstają u nas coraz liczniej fabryki przerabiające w najrozliczniejsze kształty żelazo, nieznajdując potrzebnych gatunków sprowadzać je musimy z zagranicy, z braku zatem solidarności produkcyjnej, przemysł nasz długi czas jeszcze skromne zajmować będzie miejsce w ogólnem gospodarstwie społecznem.

Od Nowego Roku pole literackie zawrze prawdziwem życiem. Zapowiadają nasamprzód *Przegląd Techniczny*, organ miesięczny, poświęcony sprawom techniki i przemysłu. Wydawcą jest pan Kossuth. Program jego wielce obszerny, dotyka wszelkich do pracy społecznej należących działów, co uczyni je dostępnem dla wszystkich zajmujących się na-

w swojej Odyssei, którą wydawał zeszytami: zwykła to kolej każdego dzieła w tym sposobie wychodzącego. Kiedy mnie odwiedził wraz z Goszczyńskiem, nie mógł słów znaleźć na wypowiedzenie silnego wrażenia jakiego doznał, widząc na scenie krakowskiej przedstawionych *Konfederatów* Mickiewicza.

Seweryn Goszczyński wiele się zmienił od chwili gdyśmy się widzieli po raz ostatni we Lwowie 1834 r. Dziś jest to już poważny starzec. Nie tak znowu na obliczu wiek wyrył swe piętno, ażebym po pilniejszym wpatrzeniu do razu go nie poznał. Oczy zostały też same, dawne dzioby zniknęły pod zmarszczkami, bujny włos śniegiem się pokrył. Wysoka postać pochyliła się pod naciskiem wieku. Sędziwe lata nadały śpiewakowi *nebaby* uroczystą powagę. Mniej mówny jak w latach młodych — ale lubiący rozmowę. Po pierwszym spotkaniu u Siemieńskiego, widywaliśmy się z sobą często, odwiedziłem go w jego mieszkaniu i on mnie nawiedzał.

— Powiedz że mi, mój Sewerynie, co teraz piszesz?—zapytałem go.

— Czytam tylko—odrzekł mi, ale nic nie piszę. W przeszłym roku zaziębiłem się w Tatrach, przekasłałem całą zimę, a teraz w Krakowie piję Krynicką wodę. I służy mi dobrze, bo wrócił apetyt, czuję się rzeźwiejszy i więcej krzepki.

— Pisałeś do mnie ze Lwowa, że zamierzasz wrócić do dawnej myśli, ażeby wykończyć *Sobótkę*, która miała nosić napis: *Kościeliska*, i być w większych rozmiarach poematem.

— Trudno mój drogi, mówił Goszczyński, nawiązać struny raz zerwane przed czterdziestu laty. Mam teraz na myśli *Rapsod* o bitwie pod Warną; piękna to treść do poematu rycerskiego. Wreszcie myślę także napisać *Studya* o Mickiewiczu i Słowackim.

— A o Krasińskim? zapytałem.

— Nie znałem go wcale, ale tych dwóch znałem zbliska i gruntownie.

— Czy wiesz, że w Akademii Umiejętności tutejszej, na posiedzeniu Wydziału filozoficznego, J. Szujski zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo, jakie już dzisiaj grozi pojmowaniu i rozumieniu działalności poetycznej Adama Mickiewicza, w skutek licznych publikacyi tyczących się jego życia wprost kłamliwych, a z próżności ludzi, chcących się łączyć z pamięcią wielkiego mistrza pochodzących. Wnosi tedy, aby Członkowi Akademii Julianowi Klaczce to niebezpieczeństwo przedstawić i prosić go o wygotowanie krytycznego życiorysu poety. Wydział, ten wniosek jednomyślnie przyjął.

Goszczyński odrzekł mi na to.

— Nie trafny wybór, bo wybrany potemu, jest to człowiek wielkiego talentu, znakomitych zdolności, ale namiętny, i co więcej Mickiewicza wcale nieznał. Cóż więc o nim będzie pisał? Świetny styl, błyszczące frazesa, tych niebraknie, ale rzeczy, o którą idzie właśnie nie będzie. Chciawszy o Mickiewiczu gruntownie napisać, trzeba go znać było, tak jak ja go znałem. Tyle lat ścisłej przyjaźni i ciągłych stosunków, dały mi go poznać do głębi. On mi się spowiadał z całego życia, a ta duszna spowiedź dała mi go poznać w zupełności. Równie blisko poznałem i Słowackiego, o nich więc, tylko na zdrowiu się pokrzepię, napiszę i prześlę ci to do odczytania. Tam poznasz z nowej strony Mickiewicza i Juliusza.

— Prawdaż to, zapytałem, że Słowacki ciągle był wrogiem Mickiewicza i umarł z nienawiścią w sercu, dla największego z naszych poetów?

— Nieprawda, odrzekł mi na to, nastąpiła zgoda, i wzajemny szacunek.

Zwróciliśmy potem rozmowę do wspomnień o dawnych czasach, i przyjaciołach naszych, z których tylu pomarło, a szczupły zastęp żyjących szron starości już ubielił.

Prezes *Akademii Umiejętności*, zacny Józef Majer, przybył z letniej siedziby w Krzeszowicach, gdzie używał krótkiego wytchnienia, po całorocznej mozolnej pracy. Właśnie przybył do Krakowa sędziwy *Adamowicz* prezes Towarzystwa lekarskiego w Wilnie, z którym oddawna się znałem. Majer więc zaprosił go na herbatę i gawędę, wraz z kilku przyjaciołmi swemi. Z Kremerem więc poszliśmy na *Wiślną* ulicę, gdzie od wielu lat Majer przemieszkuje. Wkrótce zgromadziło się całe grono: oprócz wspomnianych, przybył *Jaksa Marcinkowski* znany pod pseudonymem *Nowosielskiego*, teraz stale mieszkający w Kijowie; *Bronisław Zaleski*, bibliotekarz biblioteki polskiej w Paryżu i Rektor Akademii *Czerniański*. Dostojna małżonka prezesa, przyjmowała nas gościnnie, bo sam bawił jeszcze na *Radzie miejskiej*, po wybraniu nowego prezydenta Ziemiałkowskiego. Wkrótce sam nadszedł, i zasiedliśmy społem do zastawionego stołu.

Kremer, który ożywiał naszą biesiadę — znalazł wielkie podobieństwo rysów twarzy Adamowicza ze sławnem *Cuvierem*, którego znał zbliska. Majer przypominał dawne czasy, rozmowa miła, ożywiała się coraz więcej, bo tak Nowosielski, jak Adamowicz i każdy z nas dorzucał swoje słowo. Aniśmy spostrzegli jak nam cały wieczór rozkosznie upłynął i zbliżała się już północ. Z żalem trzeba było opuścić te gościnne progi. Gospodarz zatrzymywał serdecznie, żeby skończyć rozpoczęte wspomnienia, ale na nie zabrakłoby nam i nocy całej.

Z Kremerem i Bronisławem Zaleskim wyszliśmy na Rynek. Noc była jasna, pogodna i ciepła. Zegar Ratuszowy zaczął bić dwunastą godzinę, po nim Maryacki i inne. Dźwięk ich odbijał silnie, w pośród ogólnej ciszy miasta bo rynek był pusty i wszędzie światła w oknach zagasły.

— Długoż pan bawi w Krakowie? pytałem Zaleskiego.

— Czekam tu, odrzekł mi, na przybycie Księcia Władysława Czartoryskiego, który postanowił od Magistratu krakowskiego, zakupić od ulicy Floryańskiej po lewej ręce, odnowione skrzydło *Bramy Floryańskiej* i w nim pomieścić wszystkie swoje zbiory, tak z Sieniawy jak z Paryża.

— Piękna i użyteczna to myśl, bo dziś do nich przystęp arcy trudny, mówiłem, i dla nauki są martwemi skarbami. Tu dopiero będziemy się z niemi mogli bliżej zapoznać.

(*dok. nast.*)

---

ukowemi zdobyczami naszej doby. Dalej *Opiekun Domowy*, dotąd poświęcony rodzinom, a głównie sprawom wychowania, nie tracąc tej cechy, wejdzie w rząd większych pism i to ilustrowanych, obiecuje bowiem nie skąpić rycin. Więcej mówi dołączony do dzisiejszego numeru *Ogniska* obszerny prospekt. *Gazeta Handlowa* zmienia swą skromną szatę na okazalszą, ozdobi się felietonem z lekkiej gazy i mnóstwem drobnych paciorek, czyli artykulików brukowych. Wreszcie p. Kaufman obiecuje pięknie prowadzić *Świat muzykalny* pod redakcyą złożoną z „najzdolniejszych kompozytorów i artystów". *Mucha*, zostająca do dziś w niezręcznem ręku, wymknęła się i frunęła do innych dłoni, które brzęk jej przyjemniejszym uczynią..... Tyle zapowiedziano! Jako wszystko dotrzymanem zostanie, nie wątpimy.

Kilkakrotnie zabieraliśmy już głos w sprawie przeludnienia żebrackiego. Poświęciliśmy nawet sprawie tej dwa obszerne artykuły. Z wykazów ogłoszonych obecnie przez policję, przekonywamy się, iż w samej Warszawie ujęto włóczęgów i żebraków 3,945—przybyło zatem (od r. 1870) 843. Poważna cyfra! Nie wołamy tu: „rady! rady!" jeno domagamy się wysłuchania głosów prasy zajmującej się dzielnie tą straszną w następstwach sprawą. Kwestya usunięcia tej dotkliwej plagi występuje na porządek dzienny i w miastach prowincyonalnych. W Kaliszu wypracował w tej mierze Prezydent miasta następujący projekt: „Utworzyć komitet złożony z Prezydenta, Naczelnika straży miejskiej, Lekarza miejskiego, i trzech obywateli, którzyby zająwszy się rewizyą wszystkich żebraków, rozsegregowali prawdziwie wsparcia potrzebujących, od tych, którzy na siebie zapracować mogą. Na utrzymanie jednego ubogiego wyznaczyć rocznie rs. 40; pieniądze wydawać w ratach miesięcznych po rs. 3 i jednorazowo co rok rs. 4 na ubranie i obuwie, za co bezwarunkowo zabronić żebraniny ulicznej. Obowiązek utrzymania biednych do gminy miasta należących włożyć na mieszkańców, którzy składając nałożone na każdego z nich przez magistrat składki, tym sposobem potrzebnej na to summy dostarczać będą. Ubogich nienależących do gminy miejskiej wydalić do gmin właściwych." Projekt ten, wysłany do potwierdzenia przez władze wyższe, godzien jest uznania. Do tępienia tych pasożytów zabierają się również Kielce, gdzie kiełkuje myśl założenia domu przytułku i pracy dla biednych. Dzieje się to za staraniem miejscowego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa marzy o domu dla wysłużonych sług i robotników, co poprawi może klasę służebną, z której dziesiątki nieraz z wiekiem przechodzą w szeregi żebracze. Usiłowań tych z oka nie spuścimy.

Doczekaliśmy się nareszcie posiedzenia spółki jedwabniczej, mającej, jak wiadomo, na celu pielęgnowanie i wszczepianie zamiłowania do jedwabnictwa i niesienie hodownikom czynnej pomocy. Spółka zawiązana jeszcze w r. 1853, obowiązana prowadzić wzorowo hodowlę i produkty spieniężać, z początku gorliwa, ostygła w zapale, w końcu zaś popadła w ponurą apatyą. W roku 1870 uczestnicy spółki rozkupili 112 piętnastorublowych akcyi, uorganizowali hodowlę jedwabników na Czystem, przy plantacyi morwowej, przez co zapewnili byt towarzystwu. Dziś, po czterech latach,

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,
PRZEZ
A. H. Kirkora.

(Dalszy ciąg).

Przedmowa zrobiła wrażenie; ale nie takie, jakiego sobie życzyli Paweł Szafarzyk i Jan Kollar. Stronnicy podziału i wogóle patryoci słowaccy, widząc coraz bardziej wzmagający się ucisk swej narodowości—z większym jeszcze zapałem starać się zaczęli o rozwój własnego piśmiennictwa. Właśnie pieśni Szafarzyka uważano jako dowód, że narodowość słowacka posiada własne zasoby do bytu; że skoro lud przechował tyle poezyi w sobie, a zatem i piśmiennictwo istnieć może. A gdy Słowacy mieli do tego czasu tylko duchowne książki własne, dopiero wskazywano już na pracę zupełnie świecką, ludową. Tak więc Szafarzyk i Kollar nie myśląc o tem, stali się przedmiotem uwielbienia i znacznie przyczynili się do rozdwojenia piśmiennictwa.

Ten sam zbiór pieśni został wcielony w inne wydanie znacznie pomnożone i ogłoszone drukiem przez Kollara w r. 1834. (*Narodnie Zpievanky cili Pjsne swetské Slowáku w Uhrach*, 2 tomy w Peszcie).

Protestanci słowaccy długi czas byli przeciwni tworzeniu odrębnej literatury; teraz widzimy już i protestantów biorących udział w sprawie, którą wobec ucisku madziarskiego uznali za narodową. A nawet dwaj protestanci najwięcej przyczynili się do wzrostu piśmiennictwa, szerszego rozkrzewienia, a w końcu do ulepszenia dobrobytu i obudzenia życia w narodzie. Byli to głośni w dziejach Słowaków z ostatnich czasów *Ludevit Sztur* (*Stúr*, 1815—1856) i *Miłosław Józef Hurban*, pastor ewangelicki, znany już pisarz czeski od roku 1838. Sztur po Palkowiczu objął katedrę w Preszpurgu. Wpływ jego był tak znakomity, a zawziętość Węgrów tak silna, że nie mógł długo utrzymać się na katedrze i został usunięty. Po wielu zabiegach i staraniach Sztur wyjednał jednak w 1845 r. pozwolenie wydawania dziennika w gwarze słowackiej.— Była to gazeta polityczna i literacka „*Slovenské národnje Novini*" z dodatkiem „*Orol Tatranski*" (Orzeł tatrzański). Wtedy to Hurban połączył się z nim i zaczął pisać po słowacku, a gdy później Szafarzyk i Kollar zupełnie opuścili swą ziemię rodzinną i do Czech się przenieśli, ci dwaj stanęli na czele narodowców. Działalność ich nie pod względem tylko literackim była dla narodu owocną. Jak już wspomnieliśmy, dążyli oni do rozbudzenia życia narodowego i ulepszenia dobrobytu. Gazeta miała wielkie powodzenie i wpływ niezmierny. Działając na opinię publiczną Sztur zdołał utworzyć kilka stowarzyszeń, które zasadnicze jego idee urzeczywistnić miały. Takim sposobem powstało towarzystwo wstrzemięźliwości, towarzystwo kas oszczędności, ulepszenia, raczej wprowadzenia racyonalnego rolnictwa i t. d. Największem atoli zadaniem Hurbana było zaszczepić w narodzie to przekonanie, że jedynie przez szczere przywiązanie i zupełne poddanie się woli panującej dynastyi Habsburgów, można skruszyć krępujące ich więzy Madziarskie. Ideę tę podzielali i szczerzy pomiędzy ludem liczni jego przyjaciele i zwolennicy. Gdy wybuchło powstanie węgierskie, wiadomo jak energicznie działali Słowacy na rzecz rządu, który wysoce oceniał ich zasługi. Sztur i Hurban stali na czele tego ruchu. Przyrzekano im wiele. Nowy ustrój monarchii, dualistyczny, nie pozwolił urzeczywistnić idei słowackich patryotów: nie zdolali oni zdobyć bytu odrębnego od Madziarów, a ci i dziś wszelkiemi sposobami usiłują tamować wszelki ich rozwój narodowy.

Sztur znany jest jako autor wielu dzieł słowackich; z tych szczególną ma wziętość w całej Słowiańszczyźnie, wydane przez niego dzieło o pieśniach i podaniach wszystkich ludów słowiańskich (*O narodnich pisnich a povéstech plemen slovanskych, v. Praze* 1853). Dzieło to dla etnologii słowiańskiej i dziś ma ważne znaczenie. Z innych prac Sztura zasługują na uwagę: Nauka języka słowackiego (*Nauka reči slovenskey*), oraz o potrzebie pisania w narzeczu słowackiem (*Nárecja Slovanskuo alebo potreba pisańja v tomto nareči — v Prespurku* 1846.)

Sztur umarł w 41 roku życia od rany, którą przez nieostrożność, sam sobie zadał na polowaniu.

Hurban pisał dużo w kwestyach słowiańskich, ogłosił podróże swoje do Czech i Morawy, wydawał pisma zbiorowe, jak „Nitra," w 3-ch tomach. Ciekawa bardzo jego książka o unii kościołów luterskiego z kalwińskim w Węgrzech, a także „Pogląd na literaturę słowacką" i inne.

Ze wszystkich prcowników słowackich, najwybitniejsze postacie Sztura i Hurbana, gdyż oni przesiąkli byli ideą chociaż błędną — ale zawsze narodową i działali dla dobra ludu. Czesi mają słuszność ich najwięcej oskarżać za separatyczne dążności. Jeszcze w r. 1846, t. j. po upływie roku, kiedy Sztur rozpoczął wydawnictwo swojej gazety, kilku znakomitszych czeskich pisarzy ogłosili w imieniu Muzeum czeskiego zbiorowe prace, w których podnosili kwestye o potrzebie coraz bliższej naukowej i literackiej łączności Czechów, Morawów i Słowaków, gromiąc przewódców oderwania się od tej jedności (*Hlasové o potřébě jednoty spisovného jazyka pro Cechy, Moravany a Slováky— v Praze*). Ale te szlachetne głosy nie sprawiły żadnego wrażenia na Słowaków. Hurban odpisał na nie opryskliwie. Fałszywie pojęta duma narodowa tamowała drogę do pojednania.

Do pisarzy słowackich stronnictwa protestanckiego zaliczyć jeszcze wypada *Michała Miłosława Hodżę*, także pastora ewangelickiego i autora dzieł kilku, niemających wszakże wielkiej doniosłości.

Jak każdy język, tak i czeski w ziemi Słowaków dzieli się na kilka gwar ludowych, odróżniających jednę parafią od drugiej. Gdyby przynajmniej pisarze słowaccy trzymali się jednej jakiej gwary i podnieść ją do godności języka literackiego usiłowali; ale nie, prawie każdy z piszących gwarę swojej parafii przenosił nad inne i z niej starał się język pi-

---

egzystencya jego znowu zagrożoną została — z przepaści wyrwać go miało ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów. Stawiło się osób 72 z 293 akcyami. Wywiązały się ożywione debaty, wskutku których zgromadzenie wybrało specyalną komisyę, mającą zająć się sprawdzeniem rachunków i podaniem środków dźwigających jedwabnictwo. Komisya składa się z pp. Wł. Grabowskiego, L. Sygietyńskiego, Al. Makowieckiego, Wł. Noskowskiego, J. M. Kamińskiego, R. Kleczeńskiego, J. Sikorskiego, Czernickiego, Tomaszewskiego i Huberta. Owoce pracy swej komisya przedłożyć ma w tych miesiącach. Energia i fachowość wybranych, daje nam rękojmię podniesienia jedwabnictwa.

Cicho lub wcale nie gwarzą o zamierzonej kanalizacyi miasta przez towarzystwo angielskie, natomiast hałasu wiele sprawił list pana Daniszewskiego wynalazcy tam celem uregulowania Wisły. P. Daniszewski w piśmie ogłoszonem w *Kuryerze Warszawskim* uważa misya swą za skończoną. Tamą próbną zwrócił już bowiem korzystnie prąd rzeki — dalsze roboty doń już nie należą. Wiosna okaże, czy pomysł w teoryi świetny, wytrzyma krytykę praktyki. W razie pomyślnym pierwotny plan dokonany zostanie z wlaszcza siła spłynęłaby dla kraju korzyści. To co poczęło się czasu wiania Boreasza rozstrzygnie się za pierwszym zefiru powiewem. Wyczekujący Włoch mówi zwykle: *vedremo!*

Natręctwo w Warszawie było i jest na porządku dziennym. Tu ciągną przechodzących do sklepów, tam wtykają ci gwałtem kalendarzyk na rok 1875, lub męczą byś kupił jakiś zwiędły bukiecik, słowem, gdzie się ruszyć tam się spotyka zgraję małych lub dorosłych wydrwigroszów. Lecz najnieznośniejszem jest natręctwo sprzedających wianki przy wejściu na cmentarz powązkowski. W chwili tak bolesnej dla rodziny, jak pogrzeb ukochanej istoty, zgraja dzieciaków opada osoby idące tuż za trumną i kłócąc się między sobą, wtyka im wianki, zachwalając swój towar w najwrzaskliwszy sposób. Kto ma chęć kupić wianek, kupi go i bez tych zabiegów ze strony sprzedających, razby więc wypadło, aby ci, od których to zależy ukrócili to nadużycie, które policzyć można do nadużyć zakłócających spokojność publiczną.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, w celu zwiększenia swych funduszów, zajęło się urządzeniem seryi przedstawień amatorskich. Rzeczywiście, jest to jeden ze środków mogących napędzić dość grosza dla biednych. Zwracamy tylko uwagę, że jeżeli Towarzystwo Dobroczynności chce mieć większy dochód z mających się odbyć przedstawień, jak ten który bywał w poprzednich latach, powinno oprócz wyboru sztuk, uprzystępnić ceny miejsc. W ten sposób nie dwa przedstawienia, lecz kilka będzie wstanie zapełnić salkę teatralną, która przy zwykłych, dosyć wygórowanych cenach na drugiem już przedstawieniu najczęściej świeciła pustemi miejscami.

śmienny utworzyć. Cóż stąd wynikło? Oto, że Holly wprowadził w użycie gwarę *Nitrzańską*, gdy Sztur trzymał się już *Trenczyńskiej*, a Hodża *Lipowskiej*, Bernalàk zaś, który pierwszy dał hasło do rozdwojenia, uważał swoję gwarę *Tyrnawską* za najlepszą.

Największy ruch w piśmiennictwie, jak już widzieliśmy, obudzony był przez protestanckich pisarzy, katolicy przeto nie chcieli ich naśladować i ksiądz *Marcin Hattala* (później profesor języków słowiańskich na wszechnicy prażskiej), uznał za niezbędne użycie gwary *Zwoleńskiej*, gdyż ta była jego rodzinną. Napisał on gramatykę słowacką po łacinie, w r. 1850, później przełożoną na język słowacki: *Kratkà mluvnica Slovenska*, 1852, a następnie *Mluvnica jazyka Slowenského*, także *Obrazek azbuky*, 1855, *Srovnováci mluvnice jazyka ceského a slovenského*, oraz dziewięć innych dzieł zawsze w kwestyi językowej, a niektóre i po czesku (Slovo o Polku Igorevé).

(*D. n.*)

ODPOWIEDŹ

na wiersz: „Ł Z A"

(zamieszczony w Nr. 8 „Ognis. Domow." [1]).

Redaktorze szanowny i wielce łaskawy!
Wyczytawszy w ostatnim „Ogniska" numerze.
Konkursowe pytanie, związane w oktawy:
Dlaczego owa pani łezkę roni szczerze—
Mimo że jest bogatą, ma stroje, zabawy,
I że służba w galonach bram pałacu strzeże....
Gdy może jeszcze wielu darmo głowę biedzi:
Przynoszę do redakcyi słowo odpowiedzi.

W dużym, ładnym pokoju—przy okrągłym
[stole,
O godzinie wieczornej siedziała kobieta,
Młoda—z pięknem obliczem, pogodą na czole.
Spytacie: czy ta sama? Podobna—lecz nie ta....
Szczegółami was nudzić sobie nie pozwolę,
Strój jej głowy był prosty—prostą toaleta.
Na stole były krosna—dwie świece gorzały;
Dwie dziewczynki przy stole—dalej chłopczyk
[mały.

Dziateczki gwarzą z matką. Przedmiot rozmów
[różny:
Mała rzuciła pieniądz w kapelusz żebraczy;
Matka pieści dziewczynkę—chwali czyn jał-
[mużny.
Chłopczyk otwiera księgę... matka coś tłóma-
[czy,
A z oczu dziecka widać, że trud to nie próżny.
Najmłodsza, śliczne dziecię—bawi się inaczej...
Stroi lalkę i matce stawia na kolana,
Szczebiocząc z przymileniem: „Mateczko ko-
[chana!"

Wtem wszedł młody mężczyzna — znużenie
[miał w twarzy,
Pocałował gorąco białe czoło żony,
A potem każde z dzieci uściskiem obdarzy.
Siadł przy stole i mnóstwem pytań zarzucony,
Już stracił chmurę z czoła i wesoło gwarzy;
Potem do ucha pięknej pani nachylony,
Gdy duszę poją ciepła rodzinnego wpływy,
Coś szepce: podsłuchajmy—mówił: że szczę-
[śliwy.

A teraz, wy, szanowni panie i panowie,
I ty, konkursu swego zacny fundatorze!
Czy dobre rozwiązanie znalazłem w mej gło-
[wie?.....
Waszemu się sądowi poddaje w pokorze,
Obrazek mój najlepiej myśl całą opowie,
Czego twa piękna pani pragnąć jeszcze może.
Królowej mody brakło.... czyż wam mówić
[muszę?
Tego co grzeje serce... co zasila duszę.

Dr. —

[1]) W numerze 8-ym naszego pisma pomieściliśmy wiersz p. Kazimierza Zalewskiego p. n. „Łza," na który otrzymaliśmy kilka odpowiedzi. Po uczynieniu między niemi wyboru, drukujemy tę, którą zarówno z treści jak z formy, uznaliśmy za najstosowniejszą. (*Przyp. Red.*)

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

LIST I.

Salzburg — Reichenhall — okolice.

Zawsze się zastanawiałem nad tem, co silniejsze w człowieku: pragnienie posiadania czy odzykania? zdaje mi się jednak, że doszedłem do stanowczego w tej mierze poglądu i bezwarunkowo przechylam się ku drugiemu. Zresztą rzecz jest dosyć naturalna — łatwo jest ocenić różnicę gdy się poniosło stratę, a choć w takim razie często się wartość rzeczy przecenia, to jednak żal po szkodzie wypływa z samej natury człowieka i poczucia straty, gdy przeciwnie zawiedzione pożądanie nie da się logicznie usprawiedliwić. Rozumie się, że nie mówię tu o bankierach i kochankach—wiadomo zresztą, że ludzie ci mają oddzielnych bogów, oddzielną logikę i rachunek. Bankier liczy, że 2 razy 2 to 8, nie wliczając *del credere*, a kochankowie — mója miłość plus jej miłość to świat cały, a wszystko wobec tego zero. U obudwóch zatem nadzieje zawiedzione, równają się bankructwu— choć i tu najczęściej kochanek, po pewnym przeciągu czasu, znajduje nowe bóstwo — buduje nowe gmachy na lodzie— a bankier wymyśla nową szacher...., przepraszam, chciałem powiedzieć spekulacyą.

Przytoczony zatem wyjątek, jeśli nim jest, wzmacnia tylko regułę, której prawdy niestety doświadczyłem boleśnie na sobie. Nie śmiejcie się proszę, z tego wyrazu boleśnie— jeśli paręset baniek— parę kóp pijawek i kilkanaście plastrów wizykatoryi na piersiach i plecach, wydaje się komukolwiek rzeczą przyjemną — oprócz doktora, który je ordynuje za przyzwoitem honoraryum i felczera, który za pośrednictwem tych przyjemnych środków, lekarza w *bezpośredni* stosunek ze skórą pacyenta wprowadza, to jestem stanowczo zdania, że takiego amatora skazać należy na banicyą z rodzaju dwunożnych i forsowną delegacyą do działu gruboskórnych. Co do mnie, robię stanowcze wyznanie wiary, że czuję wstręt do baniek— pijawki mam w ohydzie— a wizykatoryi boję się gorzej jak... jak samych doktorów. Sądzę, że więcej powiedzieć nie można. — A teraz przechodzę do historyi.

Miałem lat dwadzieścia—j'avais alors vingt ans — jak mówi poeta, to czas miłości i marzeń. Moje dwadzieścia lat nie objawiały się jednak w ten sposób— ot poprostu uczuwałem tylko, że życie i młodość są rzeczą dobrą — taniec jeszcze lepszą— a blondynka z wielkiemi oczami i rzędem ząbków białych jak perełki—najpiękniejszem stworzeniem rąk boskich.

Co do ostatniego punktu, gust mój nie uległ zmianie, chyba w kierunku extensywnym, gdyż powoli tego samego przekonania nabrałem i co do brunetek. W naturalnej konsekwencyi powyższego usposobienia— starałem się tańczyć jak najczęściej — jak najdłużej — no, i o ile możności z blondynkami. Co było właściwie powodem, że pewnego pięknego poranku, obudziłem się z silnem kłuciem w piersiach, kaszlem i dychawicą— czy taniec?—czy powrót do domu po kilkunasto stopniowym mrozie?—do dziś dnia nie wiem i wolę nie wiedzieć— gdyż skutki były nadto przykre, aby się nad przyczynami zastanawiać.

Po kilku miesiącach, istny Łazarz, wstałem z madejowego łoża i usłyszałem wyrok fakultetu, który mi nakazywał długą włóczęgę po obczyźnie — gonitwę za utraconą własnością, odzyskanie tego, czego nie czuje żaden mój rówiennik, że posiada, wyprawę po zdrowie. Pierwszą moją stacyą w tym celu, moim pierwszym etapem miał być Reichenhall w Bawaryi, a o dalszym kierunku mojej podróży miejscowi tam już kapłani Hippokratesa decydować mieli.

W pierwszych dniach czerwca byłem gotów do drogi, a pożegnawszy moje Lary i Penaty, z sercem ściśnionem i łzami w oczach, rzuciłem kochanej Warszawie do widzenia, które bardzo zakrawało na farewell Otella.

W trzy dni potem byłem w Salzburgu, który jako mniej często opisywany, może już waszę uwagę zajmie. Salzburg jest starem miastem germańskiem, bo za Rzymian jest znanem pod nazwą Iuvavia i znajduje się w tak pięknem położeniu, że chyba jeden Zürich da się z nim porównać w Europie. Dzisiaj na wszystkiem znać upadek i niegdyś świetna stolica arcybiskupia liczy teraz zaledwie 18 tysięcy mieszkańców. Rzeka Salzach przeżyna miasto— domy po obu stronach zanurzone w wodzie, przypominają Wenecyą, a góry dokoła lasami zarosłe, piętrzą się groźnie, topiąc wierzchołki w chmurach.

Salzburg jest pod wieloma względami ciekawem miastem — dla historyka daje archiwum miejskie i arcybiskupie— dla malarza, malownicze położenie i cudowne okolice — rzeźbiarzowi daje wzory Szwantalera i Dorii, architektowi wspaniałą katedrę — a muzykowi kolebkę Mozarta. Rozumie się, że podróżujący suchotnik do żadnej z tych kategoryi zaliczyć się nie może — potrzeba sobie zatem było wymyśleć nowy rodzaj.

Rzeczywiście w wędrówce mojej miałem zwiedzić wiele miast i miejsc godnych widzenia po drodze, zatem, jako młody człowiek porządny i regularny od chwili choroby, postanowiłem sobie wymyśleć systemat, któryby wszystko godził. Jest wiele sposobów zwiedzania — tak jak rozliczne usposobienia zwiedzających: 1-mo, są entuzyaści, którzy przed pierwszą lepszą chatką na górze, lub strumykiem w dolinie, całą godzinę w extazie stać gotowi, wołając: ach jak to piękne i tracąc przez to czas na zwiedzanie rzeczy stokroć piękniejszych i stokroć więcej wartych—typowemi są w tej mierze Niemcy, a specyalnie Niemki.

2-do. Zwiedzanie wszystkiego—typ Polacy. W istocie, ile razy zdarzało mi się spotkać

szanownych moich ziomków, zawsze wpadali w jednę lub drugą ostateczność — obojętność zupełna, lub mania widzenia wszystkiego, choćby to wszystko nawet na najmniejszą nie zasługiwało uwagę. Rozumie się, że taka staranność w zwiedzaniu, najszkodliwiej wpływa na ogół wrażeń — niweluje je bowiem między sobą, zaciera silniejsze, ze wszystkiego robi się jakaś bezładna mieszanina, chaos, który jest właśnie przyczyną, że za powrotem do kraju opowiada się rzeczy niestworzone, śmiech tylko wzbudzić mogące. Sam słyszałem szlachcica przed katedrą medyolańską, utrzymującego, że widział daleko większą wieżę w Niemczech, tylko nie pamięta w jakiem mieście, mającą 1,500 sążni wysokości. Albo ów jegomość, który opowiadał o obrazach Rafaela, że mają ruszające się szklanne oczy. Biedaczysko pomięszał oczywiście galeryą obrazów z wystawą figur woskowych. — Jest inna kategorya, która nie ogląda nic, ale ci zwykle jeżdżą tylko do miast wielkich i oglądają jedynie *zakłady renomowane*, dla tych zatem osobnego działu nie tworzę.

3-o. Ofiary przewodnika— ten dział rozpada się na dwa poddziały: a) ofiary przewodnika drukowanego — typ Anglicy. Nad podróżującymi Anglikami można doprawdy ciekawe robić studya i tomy o nich zapisać, a humorysta znalazłby w tem materyał do tysiąca komicznych szkiców. Nie chcę się tu nad tem rozwodzić, gdyż zajmie to część moich listów z Włoch i Szwajcaryi — zaznaczam tu tylko, że każdy uczciwy John Bull miałby sobie za hańbę nie podkreślić jako rzeczy *widzianej* wszystkiego co Bedeker za godne widzenia podaje — a czerwono oprawny *guide* jest tak niezbędną częścią składową podróżującego Anglika, jak czerwone włosy końcezną ozdobą jego połowicy lub progenitury; b) ofiary przewodnika żyjącego, typ—Rosyanie i Francuzi. Tym również mam zamiar oddzielny we Włoszech poświęcić ustęp — więc powiem tu tylko, że według mego zdania jest to najnieznośniejszy sposób zadawalania ciekawości.—

Płatny *Cicerone* wyzyskuje w haniebny sposób przedewszystkiem kieszeń, a następnie znajomości humanitarno-klasyczne swoich niewolników—gdyż tym wyrazem jedynie określić można podróżnych raz popadłych w ręce *Cicerona*.

Jak widzicie, żaden z tych sposobów zwiedzania nie mógł mi przypaść do gustu— trzeba było wynaleść coś nowego i to mniej więcej moja recepta. Z książek przeczytanych historycznych i opisów podróży, wynotowywałem to, co mnie zaciekawić mogło — z taką notatką gotową szedłem na los szczęścia— rozpytując o drogę, naprzód w hotelu, a potem spotkanych przechodniów. Zachowywałem w ten sposób swobodę działania i samoistność wrażeń, którychby mnie drukowany przewodnik szumnobrzmiącemi pochwałami z pewnością pozbawił. Czy mój system był dobry nie wiem, dla mnie okazał się wygodnym, to też podaję go bez zastrzeżenia — kto chce niech korzysta, zrzekam się nawet przywileju wynalazku. A teraz wracam do Salzburga.

(*dok. nast.*)

NAJTRUDNIEJSZY
z obowiązków macierzyństwa.

(Dokończenie).

— Wytłomacz mi, mój drogi,—rzekłem innym razem jeszcze, do jednego ze starych znajomych,— skąd pochodzi, że pomimo poczciwego swego charakteru, zacności, jakiej ciągle dajesz względem obcych dowody, od sióstr tylko swoich nie doznajesz jakoś przychylności i nawet z nich jedna nieprzyjazną ci jest wyraźnie?

— Zagadka to,— odparł z goryczą mój towarzysz,— której wytłómaczenie trudniejszem jest może, niźli jakiejkolwiek innej, ci znanej. Musiałbym cię sprowadzić aż bardzo daleko bo o dwadzieścia lat poza siebie, do rodzinnej strzechy, gdziem z siostrami swojemi, pierwsze lata młodości spędził. Ani ktoś pojąć może, ile to tam pod tym dachem familijnym, który niby po świecie za symbol zgody i miłości uchodzi, — ile mówię pod nim wyrasta nieraz widm czarnych, co ludzkie życie kłócą potem sobą. A wiesz, co tego często powodem i to powodem najniewinniejszym nawet? — matka.

Tak jest— mój drogi—moja własna matka, istota, której obraz do dziś jeszcze czczę w swojem sercu, którą jak bóstwo kochałem zarówno gdy żyła,— ta matka, niechcący można powiedzieć, bo bez żadnej przecie samowiedzy o tem, stała się powodem tak wielkich w życiu mojem przykrości, ale powiadam ci tak wielkich, iż wróg mój najpierwszy nie mógłby mi ich więcej przyczynić.

Byłem widzisz, jedynakiem. Matka kochała mnie, jak to często w takich razach bywa, do szaleństwa. Kochała o tysiąckroć więcej od obu sióstr moich, ślicznych, dobrych i rozumnych dziewczątek, których każden paluszek, mówię ci szczerze, wart był wówczas więcej odemnie całego. Kochając tak— pieściła mnie niezmiernie. Wszystko było dla mnie—mało bardzo dla sióstr moich. One były łagodne, ciche, posłuszne, podpatrujące każde jej skinienie—ja byłem krnąbrny, nieuk, gwałtowny i, jeśli teraz poczciwym mnie nazywasz, to wiedz, że i tej cnoty było wówczas we mnie za dwa grosze. Wyrabia się widzisz człowiek, mój drogi, — i życie z wilka robi nierzadko baranka. Czemużby ze mnie nie miało sfabrykować osła? *Poczciwy* mówisz, jestem — no tak!... lecz pomimo tego mogłem być wówczas bardzo zły dla sióstr moich. Zły jak zły — ale przynajmniej widać nieznośny, bo oto dziewczyny chodziły zawsze same, posmutniałe, odzywały się do mnie nieśmiało, gdy matka mnie całowała, odchodziły zaraz na stronę, jakby chciały pokazać, iż nie roszczą sobie nawet prawa narówni ze mną, do tej upragnionej przez dzieci pieszczoty. Przywykłem też do tego, aby się uważać za istotę zupełnie odmienną od nich. Matka dawała mi to poznać na każdym kroku. Sam uważ, jaki z tego mógł już wówczas wytworzyć się chaos pod rodzinnym dachem.

Nie było jednakże pozornie kłótni między nami, ani niezgód. Ja sam, one same — i nic więcej. Sądzę też, że nasze rodzinne pożycie, jakkolwiek takie, jak ci opisuję, — nie byłoby zdolne przyczynić mi cierpień, a tembardziej takich, jakich doświadczyłem potem. Los chciał jednakże, abym pokutą okupił te wszystkie właśnie pieszczoty, któremi mnie matka, tak z uszczerbkiem sióstr moich, darzyła.

Matka widzisz, po śmierci naszego ojca, została z woli jego i z woli też rady familijnej, wyznaczoną do zarządu całym naszym majątkiem. Zaślepiona miłością swoją do mnie, biedna kobieta myślała, że wielką mi przez to zrobi przysługę, jeśli oszczędnością i zabiegłością swoją dokaże, że przy podziale otrzymam więcej od obu sióstr moich i od tego zatem, co mi przypadało według prawa. Zbierała więc przez czas długi, grosz dokładając do grosza i samej sobie odmawiając na każdym kroku, fundusz oddzielny dla swego synalka, tając się naturalnie z planami swojemi troskliwie. Był to wprawdzie jej fundusz własny, zebrany z zasobów, które posiadała osobiście, i fundusz ten przeto, biorąc rzecz prawnie, w niczem majątku sióstr moich nie uszczuplał. Pomimo tego jednakże, patrz co się stało.

Przy śmierci matki, gdyśmy wszystkie dzieci około jej łoża stali, matka, która liczyła na wyzdrowienie widać swoje a teraz w tej nadziei ujrzała się zawiedzioną, obawiając się może umrzeć nagle bez oddania mi swego skarbu, — wręcza mi pakiet jakiś, prosząc abym go przyjął na przedśmiertny od niej podarunek. Wziąłem co mi podano i ciekawy, co papier w sobie zawiera, rozwinąłem go zaraz w tejże chwili. Spostrzegłem pieniądze— spostrzegły je też siostry moje. Muszę ci zaś powiedzieć, że cała ta scena miała miejsce w parę tygodni po tem, gdyśmy się już ojca majątkiem prawnie pomiędzy sobą podzielili. Możesz sobie wystawić, w jakie położenie względem sióstr moich, postawił mnie z tego właśnie powodu, ten nierozważny postępek matki. Uczułem się zawstydzony, rozumiejąc dobrze, iż siostry moje nigdy czemu innemu jak tylko zmowie mojej tajnej razem z matką, przypiszą to znalezienie się kilkunastu tysięcy złotych w ręku byłej zarządczyni naszego majątku. Czułem się zawstydzony — siostry czuły się pokrzywdzone. Skutki tych uczuć dały nam się we znaki dopiero po śmierci naturalnie nieboszczki—ale nie ominęły nas jednak. Chciałem po pogrzebie matki zaraz rozdzielić na równe części pieniądze— siostry, biorąc krok ten za hypokryzyą tylko widoczne, nie chciały nic przyjąć mówiąc lakonicznie, iż nie życzą sobie być za to wdzięcznemi bratu, co im się skądinąd z prawa należy. Aż wreszcie, po kilku latach, gdy pieniądze oddane do banku nienaruszone leżały, czekając na chwilę, ażby się znalazły w rękach znów sióstr moich jak się godziło według sumienia, — mąż starszej siostry zapozywa mnie przed sądy o wyrządzenie krzywdy swojej żonie. Wystaw sobie rozpacz moję, ból, wreszcie jak chcesz to nazwać. Przerwałem naturalnie sprawę natychmiast, oddając wszystkie pieniądze szwagrowi — ale cóż tego?... Zdolnyż byłem przez to wyrugować z piersi sióstr moich to uczucie ciągłej względem mnie podejrzliwości, przekonanie, iż chciałem być ich krzywdzicielem, że wreszcie całe życie stałem im na drodze,— które w nich rozbudziła nierozważna miłość do mnie naszej wspólnej matki? Nie dokażę tego nigdy, — rzekł ze zwilżonem łzą okiem mój towarzysz, i westchnienie, którem tu wreszcie opowiadanie swoje zakończył, dało mi poznać jawnie, że rany, które otrzymał z winy matki swojej od losu, nie zabliźniły się jeszcze wcale w jego sercu.

Tych przykładów zdaje się dosyć, aby wykazać matkom naszym, czem jest w skutkach swoich, w życiowych następstwach, ten tak pozornie niewinny, tak łatwo przez nie popełniany grzeszek, o którym napisaliśmy na początku. Kazać sercu swojemu milczeć,— porywy krwi własnej utrzymywać w karbach,—do dziecka, które się często nie wiedzieć dlaczego, więcej od innych rzeczywiście kocha, nie módz się uśmiechnąć czulej ani rzewniej, dlatego, aby tem braciom i siostrom jego nie sprawić goryczy, nie wyrządzić krzywdy— zaiste! trudny to obowiązek i przechodzący siły prawie nasze. Tak jest. Lecz matko, która to czytasz, powiedz, ile niepodobnych na pozór do spełnienia rzeczy, miłość twoja rodzicielska jednakże już spełniła! Pierwszaż to ofiara i pierwsze bohaterstwo z twej strony? Sądzę, że nie. A zważ tylko, jaką aureolą pokrywasz głowę swoję, gdy temu właśnie jednemu jeszcze, najtrudniejszemu wprawdzie ze wszystkich swoich obowiązków, uczynisz zadość!

Nie idzie tu o to, abyś, jako najbliższa opiekunka swych dzieci, wstrzymywała się zupełnie od rozdawania pomiędzy nie pieszczot i karesów, które one tak cenią a które udzielane w miarę, dobry tylko wpływ owszem na dusze ich wywierać mogą—nie o to tu idzie, mówimy. Któż bowiem jak nie ty może być w tym małym, niewinnym, pełnym drogocennych zadatków na przyszłość, dziecięcym świątku, uosobieniem szczęścia i roskoszy, do których właśnie dzieci najpierwsze mają prawo?

Więc owszem — bądź *czułą*, bądź rzewną, nie szczędź niemowlętom swoim uścisków. Przyjdzie czas, gdzie one o wszystkiem zapomną — na wszystko co przeżyli spojrzą obojętnie— gdy wszystko im się znudzi— wszystko w ich duszy przeminie — a tylko te pieszczoty, te uściski twoje w pamięci ich się zostaną i ciepło co z siebie wówczas jeszcze wydadzą, umierające ich serca rozgrzeje!

Nie szczędź dzieciom uścisków... ale też bądź dla nich sprawiedliwą.

Niech dziecko wie zawsze, za co otrzymuje od ciebie łagodniejszy uśmiech, gorętszy całus, aniżeli jego bracia i siostry.

Umiej tłumić w sercu swojem kaprysy tegoż serca, tłumić instynktowne krwi własnej popędy, dla obowiązku właśnie owej *sprawiedliwości*, której najpierwszym winnaś być w rodzinie obrazem.

Bądź łaskawym sędzią, rozdawczynią kar i nagród łaskawą, — ale nigdy kapryśną na podobieństwo despotów monarchinią, rozrzucającą łaski przed tymi, którzy mieli szczęście jej się podobać.

Dziecko bo widzisz, choćby najgorsze z natury, choćby najmniej zasługujące postępowaniem swojem na miłość twoję, ma jednakże zawsze pomimo tego, przez instynkt poprostu wrodzony, wszelką do tejże miłości pretensyą. W instynkcie tym jest coś widocznie, co mu mówi, że połowa wad jego jest spadkiem odziedziczonym po tobie, że wszystkie może te wady są wadami twojemi zarazem.

Miej wzgląd na to jego niewinne, bo *naturalne i bezwiedne* natręctwo, ty, któraś sama była dzieckiem także i któraś od matki swojej wymagała tego samego! Inaczej zwróci się ono do ciebie kiedyś, dojrzałym już będąc człowiekiem, z wymówką i z wyrzutem podobnym do tego, z jakim się zwrócił do swojej, śpiącej już w mogile matki, mój towarzysz, o którym opowiedziałem dopiero.

Zapomniałem wam jeszcze przytoczyć słów jego, któremi mi skreślił stan swojej duszy, w pierwszej chwili zaraz po śmierci tejże matki, a któreby jeszcze były wam nową przestrogą, jak ostrożnie z miłością swoją macierzyńską, obchodzić się macie.

„Przywykłszy— mówił mi on — do oczekiwania wszystkiego od matki, nie posiadając żadnej w charakterze samodzielności, któraby mi pozwalała wierzyć w siebie, wierzyć, że siłą własną czegokolwiek dokonać potrafię,— uczułem nagle, gdy ta mnie opuściła, że zupełnie tracę grunt pod nogami. Stanąłem odurzony przed jej martwem obliczem i chwyciłem się za głowę, nie z bólu a ze strachu poprostu. Strach— tak jest— strach wyraźny, powiadam ci szczerze, objął mnie od stóp do głowy na myśl, że ja sam teraz o wszystko co mi potrzeba będzie, będę już zmuszony starać się i troszczyć. Co ja zrobię,—mówiłem do siebie, — co pocznę bez tej istoty, która mnie dotąd prowadziła ciągle przez świat jak niemowlę za rękę?... I mamże ci opowiadać, jak istotnie ten lęk mój był słuszny? jak wieloma dopiero bólami i cierpieniami, wieloma grzechami, bez których obchodzą się drudzy, — musiałem nabyć sobie tę trochę znajomości życia, trochę praktyczności, jaką dziś posiadam?"

Te słowa szczere mojego towarzysza, zapiszcie sobie także w pamięci, czytelniczki, i jeśli z was która jest matką, niech raz jeszcze pomyśli jaką być winna, w rozdawaniu pieszczot pomiędzy swemi dziećmi...

Tak jest, matko!— kiedy jesteś już dobrą jak anioł, jesteś cnotliwą jak Westalka,— kiedy serce twoje i twój umysł pełne są już najrzadszych zalet i przymiotów, — kiedy wszystkie siły i wszystkie chęci swoje poświęciłaś już, jak ofiarnica, na jednym tylko wyłącznym ołtarzu rodziny, — ta rodzina śmie wymagać od ciebie jednego jeszcze obowiązku. Spełnienie jego zrówna cię z bóstwem prawie, to prawda; — ale też przeto jest on *najtrudniejszy* ze wszystkich.

Musisz stłumić w sobie wszystkie krwi własnej, choćby najgorętsze nawet instynkty,— musisz kazać zamilczeć wszystkim naturze własnej kaprysom, — kazać milczeć nieraz sercu, gdy to mówić zechce, duszy być spokojną, gdy ta czułością rozpłonie,— a wszystko dlatego, by być samą *sprawiedliwością* i samem *poświęceniem* tylko dla rodziny.

Przez jej *dobro* dopiero własne będziesz czuć *szczęście*.

Pomyśl rozważnie nad tym obowiązkiem — mocno sobie postanów pełnić go potem—a już tem samem staniesz na połowie drogi do tej wysokości, na jakiej cię właśnie widzieć pragniemy. *Teofil Tarcza.*

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY
w kuchni, kółku domowem i salonie.
RADY PRAKTYCZNE
dla młodych żon i panien,
streszczone z dzieła
M A R Y I C A L M.

(Dalszy ciąg)

III. Czytanie.

Zwar, sind sie an das Beste nicht gewöhnt,
Allein, sie haben alle schrecklich viel gelesen.
Goethe.

I tu musimy Goethemu przyznać słuszność. Kobiety w ogólności dużo czytają, ale jakie dzieła? Zpewnością nie naukowe; damy w ogóle lepiej znają romanse Dumasa ojca i syna, niż dzieje krajowe—a w dziennikach chciwie czytają felietony.

W czasie mego pobytu w Anglii, odwiedzając jednę młodą panienkę, zastałam ją zajętą haftem. Kiedym robotę jej oglądała, młoda moja przyjaciółka wymawiała się, żem ją znalazła zajętą, tak nieużyteczną pracą i dodała, iż ta robota przeznaczona na loteryą musiała być prędko skończoną.

— Więc pani, uważa robótki ręczne, za zajęcie, nie przynoszące korzyści? zapytałam.

— O, nie wszystkie; są między niemi i bardzo pożyteczne, lecz przyznaj pani, że haft do nich zaliczonym być nie może i w ogólności zajmuję się nim tylko wieczorem. Szkodaby mi było we dnie czas tracić na coś podobnego.

— Czy mogę zapytać, jakie są pani zajęcia?

— I owszem, liczba ich jest dość znaczna. Najprzód ojciec powierzył mi nadzor nad ogrodem, to wymaga wiele pracy i znajomości botaniki; pracuję więc nad nią. Tu w zeszytach są tłómaczenia z najlepszych pisarzy: francuskich, niemieckich i włoskich; dalej najmniej godzinę dziennie, pracuję nad wykończaniem szkiców zdjętych w czasie ostatniej mojej podróży i przyspasabiam się do następnej; do tego proszę dodać gazety i najnowsze dzieła, których mi bilioteka miejscowa dostarcza, a przyzna pani, że czas mój jest bardzo zajęty.

Młoda Angielka przekładała pracę umysłowę nad ręczną—a jakże się dzieje u nas?

— Czyliż nas można przyrównać do Angielek, odpowiedzą mi chórem nasze panie, my mamy zupełne inne zajęcia, ranne godziny musimy koniecznie poświęcić gospodarstwu.

Otóż ranne godziny nie stanowią jeszcze dnia całego, zapytam więc? jak szanowne panie resztę dnia przepędzacie? Odpowiedź na to daliśmy już w poprzednich rozdziałach. Wymawiają się kobiety, że im do kształcenia się bardzo mało zostawiono środków.

— Prawda, mężczyźni, mają ich więcej, jednak książki tak dla jednych, jak i dla drugich są przystępne—a jak nasze panie z nich korzystają, rozbierzemy w dalszym ciągu tego rozdziału.

Postawmy naprzykład którą z naszych rodaczek na miejscu, młodej Angielki; odwiedzający zastają ją nad książką— zawstydzona, lękając się żeby jej nie posądzono o stratę czasu, bezwątpienia ukryje czem prędzej książkę— a weźmie się do roboty, chociażby do pończochy. Gość ją potępi w swym umyśle i będzie miał słuszność, gdyż książka była romansem.

Jest że grzechem czytać romanse? Bynajmniej, romans dobrze napisany, naturalnie kreślący wypadki, nietylko nie jest wzbronionym, ale i pożytek przynieść może; lecz pamiętajmy na to, że podobne książki oddziaływają najwięcej na serce i imaginacyą, i nie są czytaniem nauczającem. Z tego więc powodu czytajcie panie, ile się wam podoba, romansów i powieści w godzinach wolnych, lecz nie zapominajcie też o literaturze poważniejszej. Romanse można przyrównać do słodkich potraw, podawanych na wety, smaczne są one, ale nie posilne—osoba zaś, któraby wyłącznie niemi żyła, straciłaby apetet, a nawet i możność spożywania potraw posilniejszych.

Dziewczę, po ukończeniu nauk w szesnastym lub siedemnastym roku, nie widzi przed sobą potrzeby zajmowania się poważną literaturą—czasu ma dosyć, wolności aż za wiele, cóż więc jest dla niej ponętniejszem nad czytanie romansów? jeśli matka kochająca, będzie jej w tem przewodniczyć i nie zamykając przed nią wszystkich książek, zrobi z nich dobry wybór, wtedy dziewczę kształci się dalej, czytuje pisma poważne — dla rozrywki dobre romanse, i czas jej schodzi mile i wesoło. Ale jeżeli broń Boże, panienka zostawiona bez dozoru, sama wybiera dla siebie książki, lękać się trzeba,ażeby wybór ten, zamiast kształcić umysł, nie rozdrażnił zmysłów i imaginacyi i nie zwichnął zupełnie kierunku młodych pojęć.

Głębsze zastanawianie się nad jakimś poważnym przedmiotem, rozwijanie w umyśle jakiejś wyższej idei stało się dla nas niepodobnem, a to z tego powodu, że rzadko którą z nas nauczono myśleć. Czyż rozum, zdolności umysłowe są mniejsze u nas, jak u mężczyzn? Bynajmniej, zwróćmy naprzykład uwagę na dziewięcioletniego chłopca i takąż dziewczynkę; któreż z nich jest więcej rozwinięte? Dziewczynka. Spojrzyjmy teraz na tych samych młodych ludzi, po upływie lat dziesięciu. Chłopiec, przepędziwszy ten czas na naukach w publicznym zakładzie, uczył się tylko dla profesorów; po skończeniu kursu nauk, uczy się już tylko dla siebie—poznał on potrzebę dalszego kształcenia się, rozszerzył kółko swych umiejętności, zajrzał dalej w świat, jednem słowem, stał się człowiekiem myślącym. Cóż się przez ten czas działo z dziewczynką? To, czego się nauczyła na pensyi, oddawna już zapomniała, oprócz brząkania na fortepianie, i mówienia jako tako po francusku, nic się jej z kilkoletniej nauki nie pozostało. Robótki, najczęściej zby-

tkowne i życie towarzyskie pochłaniają cały jej czas, a godziny wolne, spędza na czytaniu romansów, gdzież tu szukać pracy umysłowej?

Właśnie w czasie kiedy rozum się kształci, i nauki zaczynają interesować, w tym czasie, dziewczę przestaje się uczyć, i wszystkie pieniądze i ofiary rodzicielskie, ponoszone dotychczas na jej ukształcenie, okazują się straconemi; gdyż po większej części, rodzice sami niechętnie patrzą na zagłębianie się córki w naukach.

— Moja córka nie może przecież ciągle do szkoły chodzić! wtrąci tu rozgniewana matka.

— Prawda, ale w domu sama kształcić się powinna. Patrzycie, ażeby córka wasza grała codzień po parę godzin na fortepianie, li tylko dlatego, żeby zachowała wprawę i mechanizm w palcach a o rozwijaniu jej zdolności umysłowych pamiętać nie chcecie.

(*D. c. n.*)

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

Kiedy tak zatopiony w swych myślach smutnych, opierał się o poręcz i spozierał w głębinę, poczuł że ktoś staje przy nim, gdy zaś odwrócił głowę, spostrzegł kucharza, który, załatwiwszy się, przyszedł na pogawędkę.

— No, Jerzy, rzekł po chwili, popatrzywszy również na światła migające w pobliskiem miasteczku portowem, coby to było, gdybyśmy tam i my pohasali trochę? Przeklęte nudy na pokładzie, nieprawdaż?

— Nie chce mi się hasać, Doktorze, odrzekł młodzieniec ponuro, serce mi pęka nieledwie, gdy widzę przed sobą miejsce, skądbym mógł wrócić do rodziny, a jednak zmuszony jestem pozostać tu jeńcem, jakbym był zbrodnię popełnił—to okropność!

— Aleśmy dotychczas dobrą mieli drogę świetny połów.

— Dałbym okrętowi sto razy tyle, wiele na mój udział przypada, zawoł Jerzy gwałtownie, gdybym mógł być wolnym—wolnym, jak ta łódka, co tam sunie.

— Sto razy tyle, Jerzy? rzekł kucharz, potrząsając głową, to dużo—i biedny marynarz nie mógłby tych pieniędzy wyliczyć.

— A jakże małoby to było w stosunku do męczarni, które znoszę, mówił młodzieniec z westchnieniem, z jaką radością byłby to zapłacił mój ojciec!

— Hm—czy umiesz pływać? spytał kucharz po chwili.

— Pływać? rozumie się! zawołał Jerzy, ze zdziwieniem patrząc na niego, ależ ludojady w tem miejscu......

Kucharz milczał, spuściwszy oczy. Wreszcie wyszeptał:

— Jerzy, ty jesteś dzielny chłopak i jedyny któryś mi okazywał współczucie na tym przeklętym okręcie. Właściwie jestem osłem, chcąc ci dać dobrą radę, bo potem znów będę siedział z całą tą hołotą sam jeden, ale serce mi nie pozwala postąpić inaczej. Pal dyabli, uciekaj, póki możesz, bo zdaje mi się, że jutro znów popłyniemy na otwarte morze.

— Znów na morze? zawołał Jerzy przestraszony.

— Aha! szepnął kucharz. Z początku myślałem, że tu kapitan wypocznie trochę, tak jak to czyni stu innych i pozostanie tu kilka tygodni lub z osiem dni przynajmniej—wszystko jednak mówi przeciwko temu przypuszczeniu, łodzie są przytwierdzone, zapuściliśmy kotwicę w większej odległości, jak potrzeba, a stary nie zabrał ze sobą papierów na ląd. Może być, że jutro naładujemy jeszcze partyę oleju i napełnimy kilka świec[1]), ale to idzie prędko, wtedy wszakże nie ma czasu myśleć o czem innem. Dziś wieczór będzie jeszcze spokojnie i—posłuchaj mnie—staraj się uciec.

— Ale ludojady — czy ich w istocie jest tyle?

— Co tam — głupstwo, mruczał kucharz. Są ludojady — to prawda; ale nie wszędzie. Kto ma szczęście, tego nie zjadają — oprócz tego w zatoce znajdują się piekielnie rzadko—harpunier tak sobie mówił tylko.

— Sądzicie, że jutro odpłyniemy?

— Jestem tego pewny.

— Ależ, jakże mogę uciec? Bednarz siedzi na przodzie, a za najmniejszym znakiem danym przez niego, wyślą łódkę w pogoń. Toć łatwo mogą przeciąć powrozy.

Prawda, że na to dyabelnie mało potrzeba czasu, zaśmiał się kucharz, ale kto mądry, może sznury skleić. Gdybym ja chciał uciec, uciekłbym niechybnie.

— Więc uważacie to za możliwe?

— Ma się rozumieć— trzeba tylko odwagi!

Oczy Jerzego zaświeciły niezwykłym blaskiem.

— A kiedyż sądzicie, najlepsza pora do ucieczki?

— Poczekaj jeszcze z pół godziny, rzekł kucharz ostrożnie, spoglądając w morze, mamy teraz pełnię wody[2]), za pół godziny prąd wróci znów w całej sile, a wtedy łatwiej pływać.

— A bednarz?

— Ja mu tymczasem dam zajęcie—ma on teraz klucze od spiżarni, więc koniecznie i nieodstępnie zażądam czegoś stamtąd. Uważaj, jak skoro ja z nim zejdę do komory, ty zbliżysz się do gallionu[3]), spuścisz się ostrożnie, żeby nie słychać było plusku wody—i postarasz się schronić w cieniu owego statku o dwóch masztach, co tu stoi niedalego.

Jerzy konwulsyjnie schwycił kucharza za rękę.

— Jakże wam dziękować?

— Pst — szepnął tenże, rozglądając się w około—ostrożnie mój chłopcze. Kiedyś, jeśli się spotkamy w Nowym-Jorku, będziesz mi fundował, nie prawdaż?

— Czy nie macie kartki papieru? rzekł Jerzy, cofając rękę, czuł bowiem, że kucharz miał racyę i że nie wolno im było dawać znaku porozumienia.

— Papieru? Śmieszne żądanie—skąd mam mieć papier? mam tylko taki, jakim nieraz owijają butelki—po co ci papier?

— Chcę coś napisać.

— Hm—Misyonarze newjorscy zawsze zarzucają nasz pokład książkami do nabożeństwa, w których są czyste kartki na końcu; czy to wystarczy?

— Zupełnie—a ołówek?

— Zdaje mi się, że mam w kuferku—poszukam—tymczasem pójdę do kambury—ale po co to?

— Przynieście mi tylko ołówek—wszystko reszta później—nie zapomnijcie też o czystej kartce papieru.

Kucharz się oddalił, Jerzy zaś chodził zwolna po pokładzie w kierunku kambury, w której nieraz już siedział z kucharzem, zwłaszcza w czasie pogody. Wreszcie kucharz powrócił, raz jeszcze rozejrzał się w około i rzekł:

— Oto masz, czegoś żądał—pójdę teraz zabrać bednarza—ale z tej chwili trzeba ei skorzystać, bo później, za nic nie ręczę.

— Poczekajcie jeszcze trochę, rzekł młodzieniec, biorąc papier i ołówek i kreśląc kilka wierszy przy słabem świetle lampki kuchennej, ten papier schowajcie dobrze, a kiedy przybędziecie do Nowego-Jorku—oddajcie go podług adresu.

— Do kogo to?

— Do Barring, Simms i Comp.

— Do Barring Simms? zawołał kucharz z największem zdziwieniem, a cóż ty piszesz do Barring Simms i skąd ich znasz?

— Niech was to nie obchodzi, ale skoro tylko wylądujecie, idźcie tam i oddajcie karteczkę. Tymczasem włóżcie ją w książkę, żeby się pismo niezatarło—a teraz, kucharzu, *good-bye*. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś zejdziemy w życiu i w szczęśliwszych warunkach. Bóg mi doda siły — tylko mi bednarza zabierzcie.

— Ale to daleko, mój chłopcze, rzekł, ostrzegając kucharz, światła stąd wydają się blisko, trzeba jednak przeklęty przepłynąć kawał, zanim się ich dosięgnie.

— Czy już prąd nastał?

— Tak jest.

— To on mnie już poniesie, bo pływam, jak ryba i nieprędko się męczę.

— Ale w ubraniu.

— Kurtkę wezmę na plecy. Żeby tylko ludojad nie spotkał mnie w drodze.

— Nie myśl wcale o tem, mruczał kucharz, w najgorszym razie zatkasz mu paszczę kurtką i zatopisz nóż w kałdunie. Tylko zimna krew—to grunt; wszak przeklęte ludojady dla tego są tak groźne, że zawsze zimną mają krew. Ale nie bój się—możesz tu pływać przez noc całą, a nie napotkasz żadnego—harpunier kłamał, by wam strachu napędzić. A teraz uważaj, jak zejdę z bednarzem — wtedy czas na ciebie. Skoro dostaniesz się do łańcucha kotwicznego zesuń się po nim w wodę bardzo zwolna, gdy zaś szczęśliwie wypłyniesz na ląd, pamiętaj, żeby cię policya nie zwietrzyła, a najlepiej, wcale się nie zatrzymuj w owej mieścinie. Na północ od tej wyspy jest miasto Concepcion, tam spotkasz wszędzie wiele rodzin niemieckich, u których znajdziesz schronienie, dopóki okręt nasz nie odbije od brzegu. Czy masz pieniądze?

— Ani centa, odrzekł Jerzy z goryczą. Wszystko mi zrabowali, nawet zegarek; ocaliłem tylko jeden mały pierścionek.

Kucharz wsadził rękę do kieszeni.

(*D. c. n.*)

---

1) *Świecami* w języku marynarzy nazywają się małe statki przewożące na ląd ładunki zabierane z większych okrętów.

2) *Pełnią wody* nazywa się przerwa pomiędzy przypływem a odpływem morza, w ciągu której morze jest spokojne i nieruchome.

3) *Gallion*— zakrzywiony róg statku, tak zwana ostroga okrętowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Panu Henrykowi Podlasiakowi.* — W dzisiejszym numerze drukujemy już inną odpowiedź— z Pańskiej więc nie mogliśmy zrobić użytku. — O dalsze współpracownictwo chętnie prosimy.

— *Panu Ludwikowi Staszew... w Imielnie.*— Z reklamacyą racz się Pan zwrócić tam, gdzie prenumerata została wniesioną, u nas bowiem, w liście prenumeratorów, którym *Ognisko* wyprawiamy wprost z Redakcyi, wcale Pan nie figurujesz i dlatego słusznemu Jego żądaniu zadosyć uczynić nie możemy.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**